

## Maszyna losująca Evy Rysowej

**Ćwiczenia stylistyczne** Raymonda Queneau to jedna z najoryginalniejszych książek dwudziestego wieku, opowiadająca na 99 sposobów mikroopowieść z miejskiego autobusu, której pierwszy opis – określony jako **sprawozdawczy** – wygląda tak: ***W esce, godzina szczytu. Typek na oko dwudziestosześcioletni, flaczasty kapelusz o wstążce zastąpionej tasiemką, szyja przydługa, jakby naciągnięta wwyż. Ludzie wychodzą. Typ, o którym mowa, wścieka się na sąsiada. Zarzuca mu, że go potrąca, ilekroć ktoś przechodzi. Płaczliwy ton, który chce być przykry. Widząc wolne miejsce, rzuca się do przodu. Dwie godziny później spotykam go na Cour de Rome, przed dworcem Saint-Lazare. Jest z kolegą, który mówi: „powinieneś sobie zafundować przy płaszczu dodatkowy guzik”. Pokazuje mu gdzie (przy wycięciu) i dlaczego.*** To wszystko. Kolejne rozdziałiki są więc efektem literackich ćwiczeń na zadany temat, którym jest na przykład opisanie owej sceny „tragicznie”, „filozoficznie” czy „anglofilsko”. Słowem, głównym bohaterem książki Queneau jest literatura i frajda, jaką daje jej uprawianie.

Nie dość, że reżyserka Eva Rysowa znakomicie odczytała zamysł autora, to jeszcze kongenialnie przełożyła go na język teatru. W związku z tym jej toruński spektakl jest o teatrze, sposobach jego uprawiania i frajdzie, jaką jest – będące jego istotą – ludzkie spotkanie na żywo. Jako że 99 scen zagranych na żywo, nawet tak krótkich, trwałoby co najmniej pięćset minut, Rysowa zdecydowała się do swojego spektaklu wybrać dwadzieścia. Ich selekcja nie jest jednak autorytarna, z góry skazując nas, widzów na wieczorne oglądanie tych samych konkretnych wariacji, gdyż wybór, dokonywany za pomocą losowania, został powierzony publiczności. W praktyce wygląda to tak, że aktorzy przygotowali na próbach dziewięćdziesiąt dziewięć scen Queneau, z których dwadzieścia losowo wybranych grają dla nas co wieczór, z zastrzeżeniem, że nie ma możliwości, żeby konfiguracja scen się kiedykolwiek powtórzyła. Oglądamy więc zawsze premierę i jednocześnie spektakl, który nigdy się nie powtórzy. Zabieg ten pięknie wyolbrzymia to, co jest istotą teatru, a więc unikalność ludzkiego spotkania, jego jednorazowość i wyjątkowość. Przecież nawet gdy jakiś spektakl codziennie jest grany tak samo, według ustalonego z góry scenariusza, na który składają się te same sceny, nigdy nie jest taki sam. Tworzą go bowiem aktorzy, każdego dnia będący w trochę innym stanie i nieco innej rzeczywistości oraz publiczność, złożona zawsze z zupełnie innych ludzi.

Recenzent w zderzeniu z takim spektaklem zawsze będzie mieć problem, bo jak tu złapać sens czegoś tak kompletnie nieuchwytnego i – tu paradoks – niepowtarzalnego. Najlepiej więc będzie, gdy spróbuję po prostu przybliżyć Państwu moją podróż w toruńskim autobusie, żeby ci, którzy mieli okazję się nim przejechać, mogli porównać swoje doświadczenia. Ci zaś, którzy nie mieli tej przyjemności, zobaczyli, czy mają na taką przejażdżkę ochotę. Rozpoczyna się spektakl, na scenę wychodzi piątka aktorów i odgrywa pierwsze cztery stacje tej podróży. Mapa 99 przystanków wyświetla się na tylnej ścianie dekoracji, podświetlając kolejno te nazwy, które zostaną za chwilę wylosowane. Bo na początku mamy czysty teatr, zrealizowany w konwencji czwartej ściany, z dość realistycznie wykreowanymi rolami: konduktora autobusu (dawniej byli oni i w komunikacji miejskiej), dwóch wspomnianych mężczyzn i pasażerek autobusu. Gdy te pierwsze sceny wyczerpią potencjał ekspozycji świata i postaci na tyle, że wiemy już, o co chodzi w tej prostej historyjce, do ataku ruszają aktorzy. Burzą iluzję czwartej ściany i nawiązują kontakt z widzami, wciągając nas do swej gry jako jeszcze jednego aktora (a może wprost dramaturga?), losującego kolejne sceny, składające się na przebieg spektaklu. Akcja spektaklu rozchodzi się od tego momentu na dwie główne narracje – autoteatralną, wynikającą ze spotkania widza z aktorem, oraz tę fabularną, opartą na kolażu wersji scenki, opowiadanych totalnie inaczej, aczkolwiek budujących mimo wszystko fabułę i dramaturgię spektaklu.

Dramaturgia przebiegu, który widziałem, wydała mi się totalnie chaotyczna i ze sobą niepowiązana, kolejne sposoby gry były od siebie oddalone i trudne do połączenia, aczkolwiek niepojęta maszyna teatru przemieliała ten zestaw przez swoje tryby, a ja pomyślałem, że tak skonstruowany, unikatowy scenariusz, pokazuje całą paletę barw, jakości i możliwości, jakie daje teatr. Okazało się na przykład, że każdy aktor może być w tej scenie, kim chce, może w niej grać albo być narratorem, może to zrobić w stylu japońskim albo sycylijsko-mafijnym, może samopowiadać tę opowieść lub dzielić ją ze wszystkimi. Słowem, mój spektakl wydał mi się na tej płaszczyźnie przedstawieniem przede wszystkim o różnorodności i przypadkowości teatru, co sprawia, że jest on narzędziem potężnym i nieprzewidywalnym niczym Fatum, losujące sobie wśród nas, ludzi, „aktorów” do kolejnych zdarzeń na arenie życia i historii. Drugim bohaterem tego spektaklu było – wynikające z tej drugiej, równorzędnej narracji – spotkanie ludzi usadzonych po dwóch stronach granicy, która pozornie jest nie do przekroczenia. Okazało się, że jest nie tylko do przekroczenia, ale wprost do sforsowania, bo takie granice to czysta iluzja. Aktorzy Teatru Horzycy od razu złapali kontakt z widownią, tworząc

wspólnotę, do której autentycznie chciało się należeć. Nie wiem, czy tak jest zawsze, ale trochę mnie to nie obchodzi, bo mogę odpowiadać tylko za moje uczucia tego konkretnego majowego wieczoru, związane z przypadkowymi, podobnie jak całe to przedstawienie, ludźmi. A bawiłem się cudownie, pierwszy raz od wielu miesięcy nie wpadając na pomysł, żeby rzucić okien na zegarek!

Na koniec opowiem Wam o uroczym małym oszustwie, które miało miejsce, jak się okazało, pierwszy raz w historii tego spektaklu. Jakaś sympatyczna para była na przedstawieniu któryś już raz, więc znała część scen, mając oczywiście wśród nich swoją ulubioną, czyli Kabuki. Gdy Łukasz Ignasiński poprosił ich o wyciągnięcie bileciku i przeczytanie numerka, jakim obdarzył ich los, bez wahania podali konkretną liczbę i przeczytali „Kabuki”. Scena została oczywiście wspaniale odegrana, wzbudzając na widowni salwy śmiechu, i wszystko byłoby super, gdyby nie fakt, że dwadzieścia minut później, kolejna widzka również wyciągnęła „Kabuki”. Mina Łukasza Ignasińskiego, który odkrył tę manipulację była bezcenna! Próbował on nawet delikatnie oszustom grozić palcem, mnie zaś ta scena całkowicie rozczuliła. Pomyślałem sobie, że jeśli są na świecie ludzie, którzy przychodzą do teatru któryś raz, a żeby zobaczyć ulubioną scenę, są w stanie posunąć się do niewinnego szalbierstwa, to znaczy, że teatr ma sens, że warto go robić i z tak uroczymi manipulatorami się w nim spotykać, tym bardziej, że teatr to przecież cesarstwo manipulacji, nieprawdaż?

Tomasz Domagała  
domagalasiekultury.pl